

-----  
**Rozdział II \_Port R.\_**  
-----

Liścik zawierał lakoniczny rozkaz schwytania i ewentualnie likwidacji Guerre Humbaka, ostatnio zatrudnionego na stanowisku właściciela jednej z tawern w Port Rympał. Podejrzewanego o posiadanie wiedzy dotyczącej najnowszej trasy idącego, z ładunkiem srebra i szmaragdów, galeonu do Hiszpanii i zamierzającego podzielić się ową wiedzą z niejakim Rudobrodym.

Hiszpanie nie mieli tam wstępu, odkryto więc przy okazji potrzebę ich kamuflażu, ale Anglicy także nie. Na szczęście Dracen, jako korsarz wynegocjował przed rokiem, za pewną przysługę oddaną jednemu z prominentnych Francuzów, krótkotrwałą możliwość zawijania po prowiant bądź na handel. Za dnia i bez szans na nocne cumowanie w porcie, na którą to ewentualność do dyspozycji dostając jedynie odległe kotwiczowisko. Ale były też inne, dokuczliwsze w tym wypadku, obwarowania.

Poza sam port, do miasta, mogło się wybrać jednocześnie tylko dziesięciu ludzi, a zostać na noc jedynie wówczas, gdyby zaprosił ich do siebie rodowity mieszkaniowiec bądź członkini Związku Zawodowego Tancererek. I szczególnie te ostatnie dbały o to, aby zasady pobytu korsarzy były przestrzegane.

>>><<<

Pozostawiając zdemolowaną łajbę „Krystynka” na oceanie, z miejsca obrali kurs na cel. Kapitan wiedział doskonale, że ścigają się z czasem i mają bardzo utrudnione zadanie. Pirat, kapitan Rudobrody, nie miał ograniczeń w zawijaniu do na wpół barbarzyńskiego portu, a ponadto znał najprawdopodobniej Humbaka i wiedział dokładnie, gdzie tego szukać. Zachodziła obawa, że przybędą spóźnieni, a wówczas pozostawałoby tylko śledzenie piratów i stoczenie z nimi walki o łup, a Dracen wykluczał takie rozwiązanie.

Rudobrody dysponował równorzędnym okrętem, zarówno pod względem uzbrojenia, jak i obsady ludzkiej. I chociaż zdyscyplinowanie korsarzy, w przeciwieństwie do chaotycznej drapieżności i zuchwalstwa piratów, dawało tym pierwszym znaczną przewagę w razie starcia, tak przewidywanych strat nie zrekomensowałyby, z punktu widzenia kapitana, żadnej wielkości łupy. Mogli jedynie liczyć na wyprzedzenie bądź przechytrzenie tamtych na lądzie, a do tego potrzebowali wiedzy większej od treści zawartych w liście- a z tym był kłopot.

Od Port Rympał dzieliło ich dwanaście godzin forsownego rejsu otwartym oceanem. Popłynęli, wzorem przebranych Hiszpanów, szlakiem okrężnym, omijającym wysepki po drodze, aby pozostawać poza zasięgiem ich lunet. A po jakimś czasie zaproszono Jamesa do kapitańskiej kajuty.

Oprócz Dracena, Mardocka i Pogodzińskiego, w środku znajdowały się branki. Ściśnięte niekomfortowo na wąskiej, kapitańskiej pryczy, z obrażonymi minkami oczekiwały końca trwającego od godziny przesłuchania. Nic nie widziały, nic nie słyszały, nie mają więc nic do powiedzenia.

— Był pan przy paniach jako pierwszy — odezwał się Dracen. Był podenerwowany. — Co może nam

pan o nich powiedzieć?

— Pozbawiliśmy panie świecidełek — James wzruszył ramionami. — Wkurzone, próżne Hiszpanki?

— Jak pan może?! — zaprotestowała z samego środka, ta ponadpołudniowa z pań. — Jestem amerykańską piosenkarką! Znaną! Bijamsie! — oświadczyła, wymawiając butnie swoje imię.

James jej nie znał, ale złożył to na karb sierocińca, gdzie o czymś takim jak przepustki na koncerty, można było jedynie pomarzyć. Podporucznik Pogodziński zagryzł tymczasem wargi, powstrzymując się od parsknięcia. Kobieta to spostrzegła.

— Pan się zamierza ze mnie naśmiewać?!

— Ależ skąd — zapewnił z ukłonem meteorolog. — W moim języku skojarzenia dotyczące imienia pani, mówiłoby o pewnych preferencjach...

— Jakich? — chciała wiedzieć.

Oficer się stropił. Za to James, chociaż nie znał polskiego, to oprócz hiszpańskiego i francuskiego poznał także rosyjski, pojął więc o jakim skojarzeniu mówi podporucznik i postanowił temat zamknąć.

— Za pozwoleniem, panie kapitanie...? — Wskazał leżący na stole łup.

Dracen nie zrozumiał, ale skinął przyzwalająco głową, a masztowy podjął z niego naszyjnik.

— Zaśpiewa nam pani, o której knajpie w Port Rympał rozmawiali wasi towarzysze rejsu?

>>><<<<

Prawdziwa aktorka, grająca nieprawdziwą narzeczoną, rzeczywista, wstępująca piosenkarka, z imieniem sugerującym bycie gwiazdą, trzy najprawdziwsze tancerki wodewilowe, udające autentyczne damy. Takim okazał się skład wziętych do niewoli pań.

W tym wypadku James nie był zmuszony odgadywać czegokolwiek, gdyż w chwili zadania przez niego pytania, zaproponowały wymianę: kosztowności za informacje.

Okazało się, że świecidełka miały być zapłatą za wykonanie zadania, polegającego na zwabieniu Guerre Humbaka na okręcik, a w co James uwierzył jedynie połowicznie, gdyż naszyjniki wyglądały na bardzo kosztowne. Nie omieszkując tego powiedzieć na głos, zasugerował obejrzenie klejnotów przez jednego z dwóch, obecnych na okręcie byłych jubilerów, do tego czasu proponując wyłączenie tychże z negocjacji.

Mardock, niepytany orzekł, że nic by tym... i napotkał wzrok kapitana, który, nawet jeśli się z nim zgadzał, ani myślał o torturowaniu kobiet, a innych prócz tortur i przekupstwo sposobów, na wybrnięcie z tego impasu, nie widział.

>>><<<<

Dogadali się zasadą kompromisów, przy czym Dracen nie zgodził się na sugerowaną, czynną pomoc kobiet, postanawiając zatrzymać je na okręcie. W zamknięciu i aż do czasu potwierdzenia ich słów.

>>><<<<

Po przybyciu na redę, zostali zatrzymani i zablokowani, a ich dalszy ruch uzależniony został od dobrej woli władz. Ciężkie działa chroniące wejścia do portu, nie pozostawiały złudzeń co do tego, jak w razie nieposzanowania zasad w tym miejscu obowiązujących zostaną potraktowani. Ale nie czekali długo. Powołanie się na pana Morou, będącego właścicielem więzienia oraz kliniki psychiatrycznej, i współpracującego ze słynnymi uniwersytetami na całym świecie, okazało się dostateczną przepustką, a Jamesa jedynie zastanawiało, jaką to przysługę oddał Dracen doktorowi.

Obowiązki podzielono już podczas rejsu. I tak część zajęła się z miejsca rozładunkiem i spieniężeniem niewielkich łupów, inni zakupem i załadunkiem aprowizacji, a do miasteczka na przedmieściach, gdzie mieściła się „Najśłodsza Kurtyzana”, wysłano dziesiątkę zabijaków pod dowództwem bosmana Birta.

Masztowy załapał się do ostatniego składu.

Nie mogło być inaczej w porcie, gdzie gros mieszkańców posługiwało się językiem francuskim. Wprawdzie o odmianie trudnej także dla europejskich Francuzów, lecz i tak James miał największe szanse na zrozumienie czegokolwiek. Prócz niego Pytton, mający nadzieję zarobienia podczas rejsu na patent oficerski i wstąpienie do kawalerii pancерnej, Jenkins, władający kordelasem z wdziękiem wytrawnego golibrody i dwóch spośród szemranej piątki, którym ani Madera, ani Bohu, nie wierzyli za grosz, ale właśnie dlatego ich zabrano. Pozostałych czterech bosman wybrał dlatego, że prawie nic nie mówili. Jak większy od góry Meryl, umiejący przytrzymać działą, aby za bardzo nie leciało do tyłu przy wystrzale. A co zwiększało szybkostrzelność z jednego i pół, do dwóch i pół wystrzałów na minutę.

Wprowadzało to, rzecz jasna, komplikacje podczas równomiernych salw, i kapitan na to nie zezwalał, gdyż Meryl nie poprzestawał na jednym, lecz potrafił biegać od działą do działą, tłumacząc to nudą i dopiero modyfikacja pod postacią dębowej dłużyca, przytrzymującego wszystkie działą na burcie, zapewniła porządek, dając Merylowi satysfakcję. Obecnie także się nudził, a w każdym razie chodził osowiały po pokładzie i bosman wołał go mieć przy sobie.

James się go nieco przestraszył przed tygodniem. Nie słuchając ostrzeżeń bosmana i innych załogantów, o pozostawieniu wielkoluda samemu sobie, kiedy tego łapie chandra i tęsknota za domem, postanowił go rozruszać rozmową.

— [...] [...] pókim dobry! — usłyszał w chwili otwarcia ust, a gdy spróbował leżeć w rozmówkę dalej: — [...] [...] [...] [...] itd., z czego jedynie: „kaszalocie” oraz „twoja mać”, były względnie zrozumiałe.

Bosman, gdy się o tym dowiedział od jakiegoś usłużnego i rozbawionego załoganta, wściekł się nie na żarty, oświadczając, że James miał szczęście, nie kończąc za burtą. A potem, za nieposłuchanie rady-polecenia, skazany został na prawdziwe zasuwanie ze ścierką i szczotą wkoło masztów. Przez trzy dni.

Zobaczył wtedy po raz pierwszy, że Dracen i pozostali oficerowie, potrafią się śmiać z kogoś jak mali chłopcy; o załodze nie wspominając.

>>><<<<

Widok przedmieść ich całkowicie zaskoczył. Gdy kobiety o nich mówiły, korsarze wyobrazili je sobie jednoznacznie, jako slamsy. Tymczasem tutaj zastali niemalże sielski krajobraz, zamieszkały przez klasę

średnią, pełen zadbanej domów i prawdopodobnie także ogrodów. Tego, ze względu na wysokie ogrodzenia, psujące sielskość i czyniąc z domostw swoiste, małe twierdze, stwierdzić jednoznacznie nie mogli, lecz gustowne murale, ocieplające kamienne mury, mogły ich do przychylności w tym zakresie, bez trudu usposobić.

Zdziwiły ich asfaltowe uliczki, z krzątającymi się, ubranymi w jednolite stroje sprzątacami końskiego nawozu, czy pasaż z kolorowymi witrynami sklepów, ale już wręcz zdumiał budynek szkoły. Otoczony placem zabaw, pełnym szczęśliwych dzieciaków, zastopował posiadacza trzech córek, Meryla i nikt nie śmiał się postojowi sprzeciwić.

Oni patrzyli, a dzieci ganiały za czymś z ogromnym podekscytowaniem, wrzeszcząc wniebogłosy.

— Łapaj! Łapaj! Aaaaaaaa!!!

— Coś łapią — przetłumaczył James. — Ale, co...? Nie wiem.

Meryl się uśmiechnął.

— Pokemona — wyjaśnił, kiwając z głową z uznaniem. — Musi, rzadki, co wszystkie za jednym. — Po czym ruszył swe wielkie cielsko, ku uldze pozostałych, pokazując dodatkowo paluchem budynek usytuowany przy krzyżówce.

Gdy wyszli z rogu, ukazał się im pstrokato ozdobiony front z głównym motywem roztańczonej figlarnie dziewczyny, ze względu zapewne na bliskość szkoły, ubranej raczej skromnie. Coś więcej niż towarzyska rozmowa przy drinku sugerowało jedynie przymrużone oko kusicielki i widać było, że to wystarczyło do zapełnienia lokalu, gdyż przed drzwiami tłoczył się wielobarwny, ludzki tłum. Górowała nad nimi pochylająca się właśnie postać w stosowanym kapeluszu i akurat przy niej panował pewien luz.

Za chwilę miało się okazać, że kobiety nie kłamały i korsarze znaleźli. I nie tylko Humbaka.

>>><<<<

### **Rozdział III \_Najśłodsza K.\_**

-----

Rudobrodego dogoniła sława.

Albo nazbyt podążał za otaczającą go famą ekscentryzmu.

Stosowany kapelusz nosił różowy, wdzianko koloru soczystej trawy, a żółte spodnie zdobiły generalskie, czarne lampasy, sugerujące trzema paskami kryptoreklamę i upodabniając go do osy. Nie jego wygląd budził jednak w ludziach, mającym z nim styczność, przerażenie, lecz upodobanie, jak głosiła legenda, do jadania na surowo mózgów pojmanych wrogów.

Dopiero gdy podeszli bliżej, spostrzegli, że wolna przestrzeń przy kapitanie w rzeczywistości taka nie jest, ale zajmuje ją trzymany za gardło klęczący człowiek.

— Mam to! Wszystko mam! — niemal rzeźił. — Chcę tylko uczciwej zapłaty!

— Ocalisz żywota! — odezwał się Rudobrody. — Czyż to nie sowita zapłata...?! — James zaskoczony zarejestrował, że kapitan jest roztrzęsiony i najwyraźniej ciężko skacowany.

— Jeśli zginę, pan się niczego nie dowie! — zauważył rozpaczliwie klęczący.

— Hmm — rozmyślał przez chwilę pirat. — Faktycznie — przyznał. — Oczy...? — A te, pod naciskiem na gardło, który zaczynał być niekomfortowy już nie tylko na pokaz, zaczęły wychodzić na wierzch.

James patrzył na to z niepokojem, gdyż rysopis Humbaka, podany przez branki, idealnie pasował do duższego. Jednocześnie zdążył już podejść na tyle blisko, że poczuł zapach obydwu. Mieszkankę egzotyczną i swojską: cebuli, czosnku, fermentującego alkoholu i już dojrzałej uryny.

— Wejźmy do środka! — wykrztusił Humbak.

— Hehehe...! — zabrzmiała odpowiedź, poparta przez podwładnych kapitana.

Z rechotu, dochodzącego spośród zgromadzonych oraz tychże wyglądu, James zorientował się, że w liczbie siedemnastu. Zaraz zresztą tłum zaczął się przerzedzać, pozostawiając przy negocjującej parze wyłącznie piratów. Tych i korsarzy, na których, z racji pozostania na miejscu i uzbrojenia, zbóje nie mogli nie zwrócić uwagi. Bosman jednak, widząc niepohamowanie rudego draba w morderczym instynkcie i obawiając się utraty celu wyprawy, postanowił im dopomóc na wszelki wypadek.

— Mamy do pogadania z tym panem — zakomunikował nonszalancko Rudobrodemu, wskazując Humbaka.

Nie tylko kapitana wprowadził śmiałą odzywką w osłupienie, lecz i pozostałych piratów; tłumek gapiów nabrał szybkości w wycofywaniu się, a podwładni obejrzeliby po sobie.

James parsknął zaskoczony- z podziwem, Jankins pociągnął nosem, eksponując złote zęby, Pytton swoje zacisnął, rozszerzając nozdrza niczym byk, szykujący się do szarży, a pozostali w skupieniu oczekiwali na odszczek piracki. Prócz wiadomej dwójki, której zachowanie bosmana w głowach się nie pomieściło.

— Przecież to...

— To Rudo...

— Wy myślıta, że pan bosman o tym nie wie?! — przerwał ich biadolenie Meryl.

James stał najbliżej i szybko wydobyl z głębi swego jestestwa, spokojne słowa wychowawcy o ufaniu intuicji i wychodzeniu niebezpieczeństwu na przeciw. Miał on w zwyczaju wbijać chłopcu do głowy swoje prawdy na każdym kroku i oprócz jednej cechy, udało mu się Jamesa solidnie do życia przygotować.

— Nic tak nie wybija pewnych siebie cwaniaków z rytmu — mawiał — jak zdecydowana reakcja. Staraj się zawsze uprzedzać ich działania.

Nie miał być to trening, ale chłopiec tak się właśnie zachował.

Rudobrody spurpurowiał, wypuścił z ręki Humbaka i sięgnął po kordelas. James ruszył mu natychmiast na spotkanie, w ruchu wydobywając pałasz i gdy już mieli się zetrzeć, w ostatniej chwili, wymijając za-

skoczono kapitana, w pełnym wdzięku tanecznym obrocie. Nie on był pierwszym Jamesa celem.

Trzysta sześćdziesiąt stopni później, stojący za kapitanem, nieco z boku, jego pierwszy oficer, zdążył już wyszarpnąć zza pasa pistolet. W chwili jego odbezpieczania końcówka ostrza pałasza rozplątała mu krtań, a James, nie zatrzymując pędu, wpół obrocie, ciął po raz drugi. Tym razem całą głownią.

Manewr chłopca tak zdezorientował kapitana, że najprawdopodobniej nie zrozumiał nawet, że cięcie z półtora obrotu oddzieliło mu od tułowia głowę.

Potoczyła się, brudząc na szkarłat siwy bruk, a po trzech fikołkach, spadł z niej kapelusz.

— O jejku...! — zdziwiła się.

Z pozostałej szesnastki zareagowało prawidłowo trzech, sięgając po pistolety. Najbliższy pierwszego, Pytton, zarąbał go z wysoku i z okrzykiem, straszliwym, dwuręcznym uderzeniem szabli, po którym głowa pirata rozpadła się na dwoje, a dwóch powalił Meryl gołymi rękoma. A pozostali? Można byłoby przypuszczać, że reszcie zabrakło odwagi albo obudził się w nich zdrowy rozsądek, lecz prawda była inna. Pozostali wyglądali, jakby oto właśnie i na ich oczach, Święty Jerzy odrąbał smokowi łeb.

I z tego powodu Jankins był niepokieszony. Zagwizdał tylko z podziwem.

— No, no, panie Madera! Nie tylko jęzor u ciebie ostry i sprawny! — zauważył zazdrośnie.

>>><<<

Niestety. Już podczas wstępnego etapu akcji, zarówno Humbak, jak i dwaj pseudokorsarze, zniknęli w środku lokalu i James się na pierwsze wściekł.

— Wyciągnę go! — zaoferował podniecony.

— Nie, panie Madera, nie wyciągniesz — zastopował go bosman. — Wnętrza lokali są zdemilitaryzowane, a każda próba złamania prawa, kończy się stryczkiem albo uwięzieniem u doktora Morou. — Podrapał się po głowie, wyraźnie zafrasowany. — Skądinąd wiadomo, że Rudobrody i Morou pozostawali w zażyłości. Tak mi coś mówił kapitan. Tak może być chryja i lepiej będzie, jak wrócimy na statek.

— Słyszał go pan, bosmanie! — zaoponował James. — On chce te informacje sprzedać, a teraz nie ma komu. Spróbujmy z nim porozmawiać! — przekonywał.

— Wracamy na statek! — warknął bosman, zamykając dysputę. — Ale przedtem...

>>><<<

— Kapitan jest twój! — oświadczył, wskazując bogato zdobione pistolet i sztylet Rudobrodego.

James wzruszył ramionami niechętnie, lecz nie zaoponował. Przykucnął, rozglądając się po gęstniejącym ponownie tłumie gapiów, z miną skazańca, któremu rozkazano okradać zwłoki. Nagle wstrzymał przegląd. Ujrzał ciemnowłosą, wyróżniającą się wyraźnie stonowanym strojem na tle innych, kobietę. Jakby na fotografii, wyciętą z tłumu i obrysowaną kolorową poświatą. Miała jakieś trzydzieści lat, bladą cerę i

patrzyła na zwłoki z pogardą i ulgą, tuląc do siebie, zupełnie niepodobną nastolatkę.

Gdy ich oczy spotkały się, westchnęła, falując imponującym biustem, by zaraz uciec wzrokiem w popłochu i natychmiast zabierając się do odejścia. Za to młodsza, widząc tę krótką wymianę spojrzeń i zakłopotanie towarzyszkii, uśmiechnęła się kpiąco do siebie pod nosem, a do Jamesa puściła oko.

Odeszły. James pozostawał przez chwilę w przysiadzie, bezwiednie biorąc w ręce broń pirata, a wstał, dopiero gdy zniknęły za najbliższym rogiem.

— A sakiewka?! — rzucił nienawistnie szyderstwem jeden z piratów.

Chłopiec nieśpiesznie wetknął pistolet za pas, wydobyl z pochwy sztylet i pochylając się, odciął rzeczony przedmiot. Następnie przemierzył kilka kroków, by podjąć z bruku kapelusz kapitana. Wrzucił doń sakiewkę i podszedł do pyskacza.

— Twoja też! — Czubek sztyletu dotknął jego krtani.

— I pozostałych! — dorzucił bosman. — Plus pierścienie, łańcuchy, zegarki i drobne z kieszeni! To was oduczy pyskowania korsarzom Jej Królewskiej Mości!

Korsarzom nie trzeba było tłumaczyć podtekstu rozkazu. W kilka chwil piraci, w większości ciągle zagapieni na głowę swojego kapitana, zostali rozbrojeni jak dzieci. Łatwiej, dzieci by zaprotestowały. A w nakryciu kapitańskiej głowy zaczęły lądować prywatne ich dobra.

>>><<<

Prócz kilku sztuk, zabranych przez Birta i jego chłopców na pamiątkę, całość przejętej broni sprzedano na pniu i za dobrą cenę. Stojący w tłumie właściciel najbliższego sklepu myśliwsko-wojenno-wędkarskiego, sam to zaproponował i po krótkich targach odliczał do kapelusza monety, posyłając pomocnika po transport. Ten zjawił się po kilku minutach meleksem, oszczędzając korsarzom konieczności zanieśienia towaru na miejsce zbytu, a piratom pozwolono na zabranie ciał i odejście do portu.

Przybici, odczuwający skutki wczorajszej libacji, przyjęli to z wdzięcznością, nie odgrażając się nawet. Wspomnieli jedynie na odchodnym, że zamówią w drukarni klepsydry i będzie można się z nich dowiedzieć, kiedy odbędzie się uroczysty, morski pochówek „Postrachu Oceanów”.

>>><<<

Całe zdarzenie nie byłoby niczym niezwykłym, gdyby nie dotyczyło sławnego Rudobrodego. Lecz właśnie w związku z tym faktem, po odejściu piratów zostali wręcz zaatakowani przez poklepujących ich, najwyraźniej rozradowanych mieszczan. Cała ekipa, a James szczególnie, musieli się opędnąć od wiwatującego motłochu i siłą rzeczy wylądowali, uciekając, w środku „Najśłodszej Kurtyzany”.

Bosman, jako jedyny, był tym faktem niepokieszony. Albo, jako jedyny, wiedział o zagrożeniach czyhających w tym miejscu, gdzie broń musieli oddać co do sztuki. Pocieszała go jedynie obecność Meryla, z którego pozostali naigrawali się, że na dobrą sprawę powinien zostać na haku w szatni. Po tym, mogli wkroczyć na salę.

Miała niesamowity wystrój wnętrza wojennego okrętu, z trzema masztami, oplecionymi kręconymi

schodami. Przy czym szlak został stanowczo wytyczony, gdyż po fokmaszcie wędrowały roześmiane paruki w drodze na wyższe kondygnacje, a po bezanmaszcie schodziły na dół. Oni przeszli obok grota.

Dostojna kierowniczką sali zaprowadziła ich do jednej z wnęk nazywanych kajutami. Usytuowane przy ścianach, odgródzone po bokach przepierzeniem od innych, mieściły wewnątrz stół z dwoma rzędami miękkich siedzisk. Te zostały rozmieszczone tak, aby goście mogli wygodnie rozsiąść się i widzieć bez zadzierania głów, co dzieje się na wysokości kilku metrów grotmasztu. A tam, na platformie z pleksiglasu, dokonywała na rurze ekwilibrystycznych cudów, powabna, ledwie muśnięta odzieniem, tancerka.

Z Jamesa, do którego zaczęła docierać waga wydarzeń sprzed lokalu, powoli odpływała adrenalina. Nagle zadumany, aż podskoczył, a co towarzysze, znający knajpę z wizyt bądź opowieści, skwitowali śmiechem, gdy na koniec stołu przy samej ścianie, opadła najprawdziwsza osłona okienka działowego. Z tą różnicą, że zamiast złowrogiej lufy ukazała się w nich blond główka, uroczo uśmiechniętej kelnerki.

— Witamy w najlepszym domu w Port Rym...pał... — Kolejna dziewczyna puściła oko do Jamesa, stawiając na stole metalową tacę z ośmioma czarkami. Otaczały pękata fłaszę rumu. Przesunęła aperitif poza drzwiczki. — Oto karta. — Położyła rzeczona obok. — Proszę wybrać i zapukać! — Okienko zamknęło się.

— Ani się ważcie! — zawarczał Birt, a gdy podwładni nie wykonali żadnego fałszywego ruchu, dopowiedział: — Jesteśmy na służbie! — Nadal nie było odzewu. — No dobra. Po jednym...

>>><<<

Jako że posiadali różowy kapelusz, nie żalowali sobie. Homary, kawior, kaczka nadziewana truflami oraz słodkie torciki "Mniamciusz", z najdroższej cukierni na południowej półkuli. Każdy dostał z karty, co zechciał, oprócz większej ilości trunku i:

— Towarzystwa - 5 szt. srebra (napiwek wliczony w cenę) za godzinę. — Nikt.

Oraz:

— Towarzystwa 24h - 5 szt. złota (napiwek mile widziany) — Tym, co bosman zaczął rozważać za słuszne rozwiązanie, miał delektować się jedynie Madera.

Czuł dyskomfort i brzemień odpowiedzialności, zostawiając chłopca bez wsparcia, ale przypomniał sobie zaraz, co ten dzieciak zrobił przed lokalem i kto go uczył.

— Znajdź go i skłoń do współpracy — mówił na odchodnym. — I pamiętaj, że zostajesz tu sam i bez broni. Zabieramy całą na okręt, bo w razie draki i tak ci jej nie oddadzą. A w razie, gdyby... — Tu nastąpiło długie i dosyć skomplikowane wyjaśnienia dwóch dróg odwrotu. Ze wskazaniem punktów odbioru, by w razie kłopotów mógł dotrzeć o świcie poza miasto. Jedno, na wysokości nocnego kotwicowiska dla okrętu, drugie, po przeciwnej stronie wyspy.

James zapamiętał wszystko. Jako jedyny nie pozwolił sobie nawet na pół czarki rumu.

>>><<<

Cdn.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Felicjanna, dodano 04.03.2018 12:20

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).